

Anna Dymna:

Znakomita aktorka teatralna, filmowa i telewizyjna od lat jest ulubienicą publiczności. Swoją sławę wykorzystuje, aby pomagać innym. W TVP2 prowadzi już czwarty rok program „Spotkajmy się”, poświęcony osobom niepełnosprawnym. Jest założycielką i szefową Fundacji „Mimo wszystko”. Zobaczmy ją w nowym serialu „Odwroćeni”.

NICZEGO NIE KALKULUJĘ

■ Znalazła pani wspólny język z osobami chorymi i niepełnosprawnymi. Czy dlatego, że sama w życiu wiele przeszła?

- Byłam wychowywana w poszanowaniu i miłości do ludzi. Uprawiam zawód, który polega na tym, że muszę zrozumieć sytuację i postępowanie drugiego człowieka. Całe życie uczyłam się słuchać i rozmawiać z ludźmi. Otwartość i potrzebę rozmawiania wyniosłam z domu, a z biegiem lat wypracowywałam te predyspozycje jako aktorka. Gdy miałam w życiu problemy i tragedie, pomogli mi ludzie. Najbardziej niepełnosprawni. Kiedyś, gdy byłam bliska załamania, zobaczyłam rozesmiane dziewczyny na wózkach inwalidzkich. One mnie zawstydziły, dały siły i pomogły cieszyć się tym, co mam.

■ Dlaczego pani to robi?

- Nasz świat zdążył w złym kierunku - samotności i ciemności. Ludzie coraz mniej z sobą rozmawiają, życie ma tempo, które jest wręcz zgubne. Staram się temu nie poddawać. Walczę o okruszyny normalności. Złe się dzieje w życiu publicznym. Padają autorytety. Ludzie coraz bardziej się nienawidzą z powodu swoich kompleksów, ze strachu, z braku pracy. Może dlatego lgnę do ludzi niepełnosprawnych umysłowo. Jeżdżę do nich po odrobinę normalnych odruchów.

■ Jak żyje się w Polsce ludziom przewlekle chorym?

- Bardzo źle, okropnie. Często wydaje się, że nic im się nie należy. Czasem wegetują w nędzy, bezradni, samotni i czekają na śmierć.

■ Nie boi się pani zmie-

rzyć z cudzą ułomnością?

- Nie, chociaż jest to bardzo trudne i chyba nigdy nie nauczę się dystansu w kontaktach z nimi. Nie panuję często nad reakcjami i emocjami. Po prostu przy nich pękam. Ale nauczyłam się być z nimi, trzymać za rękę w najgorszych momentach, milczeć lub rozmawiać o cierpieniu i śmierci. Często po nagraniach programu TVP2 „Spotkajmy się” nie śpię wiele nocy. Czasem te spotkania odchorowuję. Zauważyłam kilka razy, że bolał mnie choroby moich rozmówców. Kiedyś, po programie o stwardnieniu guzowatym i raku nerki moje nerki pękały z bólu. W odreagowaniu najbardziej pomaga mi teatr, będący jedynym miejscem, do którego wchodząc, muszę zapomnieć o wszystkim i stworzyć zupełnie inny świat.

■ Pracuje pani i nie bierze za to grosza?

- Za pracę w fundacji nic nie biorę, chociaż jak trzeba, pracuję po kilkanaście godzin na dobę. Myślę, że gdybym brała za to pieniądze, to nie miałabym sił do tak intensywnej działalności. A tak sprawa jest czysta. Zapłata jest ogromna, nieopisana radość, że

...nauczyłam się być z nimi, trzymać za rękę w najgorszych momentach, milczeć lub rozmawiać o cierpieniu i śmierci. Często po nagraniach programu TVP2 „Spotkajmy się” nie śpię wiele nocy.



▲ Anna Dymna jako Barbara Radziwiłłówna w filmie „Królowa Bona” (1980 r.)

FOT. PAP/CAF/WITOLD ROZMYŚLÓWICZ

mogę się komuś przydać. To największa zapłata. Ale wszyscy powtarzają, że żadne cierpienie nie jest tak straszliwe jak samotność. Miłość, przyjaźń, czasem dobre słowo sprawiają, że każde cierpienie jest ludzkie. I zawsze do zniesienia. Nawet śmierć przy bliskiej osobie traci swoją grozę i moc. I potrafi być uśmiechnięta.

■ Czy w swoim programie telewizyjnym „Spotkajmy się” nie boi się pani zadawać im najtrudniejszych pytań?

- Przed programem pytam gości, czy są jakieś tematy tabu. Jeśli są, po prostu ich nie poruszam. Ale najczęściej pozwalają pytać o wszystko.

■ Czy zawsze ma pani odpowiedzi?

- Czasem nie ma odpowiedzi, ale jej brak bywa najlepszą odpowiedzią.

■ Mniej jest teraz pani na dużym i małym ekranie.

- Po pięćdziesiątce ma się mniej propozycji. To normalne. Poza tym bardziej szanuje się czas. Nie przyjmuję więc byle jakich propozycji. Bardzo trudno jest mi decydować się na

rolę w serialu, bo musiałabym zrezygnować ze wszystkiego, na czym mi zależy. Ale gram teraz żonę mafiosa, niedużą rolę w serialu „Odwroćeni”.

■ Niektórzy mówią, że Dymnej nie zależy już na karierze aktorskiej...

- Karierę robiłam dawno. W moim wieku już się jej zwykle nie robi. Nadal jestem aktorką i czuję się prawdziwie szczęśliwa, gdy gram. Właśnie gram Arkadynę w „Mewie” w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie. W moim macierzystym Starym Teatrze pracuję nad rolą Klitajmestry w „Orestei”.

■ Jak postrzega pani młode pokolenie kandydatów na aktorów, z którym ma pani kontakt na co dzień w PWST w Krakowie?

- Młodzi zawsze są tacy sami, tylko ci obecni są w dużo gorszej sytuacji niż my w ich wieku. Brakuje im

autorytetów. Żyją w dziwnych czasach, niebezpiecznych, pełnych pułapek, pociągających atrakcji, ogromnego pędu i chaosu.

■ Przecież mają kontakt z Anną Dymną.

- Jestem bardzo szczęśliwa, jeśli mogę się komuś na coś przydać. Wydaje mi się, że młodzi są często przestraszeni i coraz bardziej smutni. Wielu koło dwudziestki już wie, co to depresja. Ja jestem czasem dużo radośniejsza od nich. Mają trudne wybory, chociaż większe od naszego pokolenia możliwości i otwarty świat. Tylko nie ma im kto doradzić - co mają wybrać, a złudnych propozycji jest wiele. Mam 21-letniego syna. Od rzeczywistości uciekł w muzykę, której jest pasjonatem. Studiuję filmoznawstwo, ale naprawdę jego światem jest improwizacja i jazz.

■ Jak pani reaguje, gdy słyszy o sobie: „Matka Boska”, „Anioł”, „Święta”?

- Wolę uchodzić za naiwną i moralizatorkę. Z premedytacją mówię dobre rzeczy o ludziach i świecie, bo w ten sposób prowokuję dobro. Czasem, gdy słyszę, że udaję dobrą, bo się starzeje i nie mam co grać, to mnie trochę boli i zdarza się, że sobie popłaczę do poduszki. Ale rano wstaję radosna, śmiało patrzę w lustro i dalej z radością robię swoje.

■ Czyli nie jest pani przez wszystkich kochana?

- To przecież niemożliwe.

Niektórzy mnie wręcz nienawidzą, bo jestem dla nich jakimś wyrzutem sumienia. Mówią do mnie: „Skąd ty masz tyle siły, jak ty to wszystko godzisz?! Ja bym nie potrafił” - no i mnie nie lubią. Jerzy Owsiak powiedział mi: „Anka, musisz pamiętać jedną rzecz. Jeżeli ci się uda to, co sobie zamierzyłeś, to zaczniesz się spotykać z okropną nienawiścią z różnych stron. Ale to będzie dowód na to, że rzeczywiście zrobiłeś coś dobrego”. Ale wiem też, że mam wielu oddanych, kochanych przyjaciół, bez których nic bym nie zdołała.

■ Widzę, że działa pani odruchowo, z potrzeby serca.

- Zgadza się. Niczego nie przeanalizowałam, co to znaczy mieć fundację, nigdy bym jej nie założyła, bo z pewnością doszłabym do wniosku, że nie dam rady. Założyłam ją, bo musiałam ratować 26 osób, które zostały wyrzucone poza nawias życia, pozbawione warsztatów terapeutycznych. Zrobiłam to z odruchu serca, nie miałam wyjątków ani czasu na rozważenie. Teraz czasami budzę się w nocy i myślę sobie: Boże święty, kobieto, coś ty narobiła! Ale tyle dobrego zaczęło się dziać, tyle rzeczy już się udało uruchomić, że nie żałuję.

■ Rozmawiał

BOHDAN GADOMSKI

FOT. MARCIN DŁAWICHOWSKI/FORUM